

WOJNA  
I MIŁOŚĆ

*Andrzej i Halina*

JOLANTA MARIA KALETA

„Kogo Bóg darzy wielką miłością,  
w kim pokłada wielkie nadzieje,  
na tego zsyła wielkie cierpienie,  
doświadcza go nieszczęściem”.

Fiodor Dostojewski

JOLANTA MARIA KALETA

WOJNA  
I MIŁOŚĆ  
*Andrzej i Halina*



OTWARTE

KRAKÓW 2019

Copyright © by Jolanta Maria Kaleta

Opieka redakcyjna i redakcja tekstu: Monika Rossiter

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta, łamanie: Pracownia 12A

Projekt okładki: Nikola Hahn

Fotografie na okładce: kobieta – © Daniel Murtagh / Trevillion Images,  
mężczyzna – © Mark Owen / Trevillion Images

Fotografia autorki: Sławomir Kaleta

Na wyklejkach zarządzenie godziny policyjnej w dystrykcie krakowskim  
wydane przez władze okupacyjne w 1942 r. – Archiwum Narodowe  
w Krakowie Oddział w Bochni, Zbiór afiszy, sygn. 30/182/115

ISBN 978-83-8135-009-9



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

## NIEZBĘDNIK HISTORYCZNY

Koniec pierwszej wojny światowej nie tylko nie przyniósł rozwiązania problemów, które do niej doprowadziły, ale także stał się zarzewiem nowych konfliktów. Upadło Cesarstwo Niemieckie i Imperium Rosyjskie. Na gruzach monarchii Habsburgów narody wchodzące w jej skład utworzyły własne państwa. Po stu dwudziestu trzech latach zaborów odrodziła się niepodległa Polska. W powojennym chaosie zrodziły się nowe ideologie: komunizm i faszyzm. Obie bazowały na pogardzie i nienawiści do innych, obie chciały uczynić z pojedynczego człowieka posłuszne narzędzie w rękach rządzących, obie miały ambicje zapanować nad światem, nawet kosztem kolejnego konfliktu zbrojnego.

Wojna rozpoczęła się 1 września 1939 roku atakiem Trzeciej Rzeszy na Polskę. 17 września, zgodnie z zawartym tajnym protokołem traktatu Ribbentrop–Mołotow, wschodnie granice państwa polskiego przekroczyła Armia Czerwona. Mimo podpisanych układów i gwarancji udzielonych przez rządy Francji i Wielkiej Brytanii państwa te nie przyszły Polsce z pomocą. Osamotniona prowadziła heroiczną walkę, choć ekipa rządowa i wódz naczelny opuścili terytorium

państwa, udając się na emigrację. Działania wojenne zakończyły się 6 października, kiedy pod Kockiem skapitulowała Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie” dowodzona przez generała Kleeberga.

Ziemie polskie na wschód od Bugu przypadły Sowiecom. Natomiast Wielkopolska, Pomorze, ziemia łódzka, północna część Mazowsza i województwo śląskie zostały włączone do Trzeciej Rzeszy. Na pozostałych ziemiach polskich Niemcy utworzyli Generalne Gubernatorstwo ze stolicą w Krakowie, na którego czele stanął Hans Frank.

Niemal od pierwszego dnia okupacji zaczął się organizować ruch oporu. W jego szeregach znaleźli się oficerowie i żołnierze, którzy uniknęli śmierci lub niewoli, oraz młodzi chłopcy i dziewczęta, gotowi walczyć z okupantem nawet za cenę życia. Właśnie o nich jest ta opowieść.

## ROZDZIAŁ 9

Mieszkańcy Krakowa z niepokojem obserwowali, jak trzeciego dnia wojny stopniowo zaczęły opuszczać miasto stacjonujące w nim oddziały wojskowe. Do Łańcuta udało się dowództwo Okręgu Korpusu V Kraków i sztab armii Kraków. Władze miasta wezwały urzędy i instytucje państwowe do ewakuacji. Wśród opuszczających miasto znaleźli się niektórzy radni miejscy, władze szkolne i wojewódzkie oraz pracownicy służb miejskich. Tłumaczono, że takie działania miały już miejsce w innych miastach. Nawet prezydent Krakowa Czuchajowski wyjechał, przez co w niektórych, nieprzychylnych mu kręgach, okrzyknięto go „Czmychajowskim”. Jednak gazety wciąż przynosiły pomyślne informacje. Przede wszystkim gruchnęła wieść, że Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom. W ślad za tym dziennikarze informowali o nalotach RAF-u na niemieckie miasta. Dopiero później się dowiedzą, że zamiast bomb piloci zrzucali ulotki nawołujące do zaprzestania wojny, co Hitler miał w nosie. Szeroko rozpisywano się o ruchach wojsk francuskich odnoszących wspaniałe zwycięstwa.

– Jędrus! – zawołała radośnie Katarzyna, podnosząc na syna wzrok znad gazety. – Piszą, że Francuzi przełamali linię Zygryda, a nasze samoloty zbombardowały Berlin. Hitler ponoć uciekł na Elbę! Przecież oni mają te swoje czolgi z lichej blachy, a na front posłali jakichś młokosów pojonych alkoholem dla dodania animuszu – powtarzała przyniesione przez Helę plotki. – Westerplatte, Gdynia i Hel się bronią. I nasi zatopili największy pancernik niemiecki... – czytała z satysfakcją fragmenty doniesień prasowych, skupiona na tytułach zapisanych dużymi literami na pierwszych stronach gazet. Rozpierała ją duma z wodza naczelnego, z poczynań polskiej armii, świetnie wyposażonej i nowoczesnej, jak zawsze mówiono.

Andrzej dość szybko zdał sobie sprawę, że zalewa ich fala rządowej propagandy. Z drobnych ogłoszeń powoli zaczął się wylaniać prawdziwy obraz tego, co działo się w Polsce. Niemcy bombardowali miasta i miasteczka, mordowali bezbronną ludność cywilną, pojawiły się firmy proponujące budowę schronów, poprzez ogłoszenia proponowano wykupywanie cennych przedmiotów. Krótko mówiąc: wygrywamy, jesteśmy potężni, nic nas nie rusza, pomyślał z kpina, przeczytawszy informacje o wojsku polskim maszerującym na Berlin.

Posłana po pieczywo Hela kolejny raz wróciła bez chleba. Natomiast już od progu dzieliła się wiadomościami zasłyszonymi na mieście. Z braku informacji mieszkańcy Krakowa wychodzili na ulicę, aby czerpać wiedzę od napływających każdego dnia uciekinierów z terenów zajętych przez Niemców lub tych, gdzie toczyły się walki.

– Anglicy i Francuzi desant zrzucili! – opowiadała podskrytowanym głosem, zarumieniona na twarzy bardziej niż zazwyczaj. – Niemcy z zemsty wszystkich mordują. Gdynię z ziemią zrównali i wszystkich młodych ludzi aresztują, i do Rzeszy na roboty wywożą...



– Chryste Panie... – jęknęła Katarzyna i zatrzymała na swym synu zatroskane spojrzenie. Stracę kolejne dziecko, pomyślała przerażona.

– Helciu... – Andrzej wznosił oczy do nieba. Wiedziałem, że głupia, ale żeby aż tak, to nie, pomyślał. – Gdzie miałby być ten desant?

– No, u nas... – Wzruszyła ramionami, robiąc obrażoną minę. – Na Salwatorze... – ciągnęła zaaferowana. – Mówiła stara Proszkowa, ta z mydlarni na Jakuba, tej naprzeciwko Starej Synagogi, że szpiegów niemieckich u nas złapano i wszystkich na miejscu ukatrupiono...

Rozmowę przerwał ostry dźwięk dzwonka u drzwi, jakby komuś bardzo się spieszyło. Andrzej zerwał się z krzesła, uprzedzając Helę, która także wstała, aby pójść otworzyć. W progu stał mieszkający w sąsiedztwie profesor Bursztyn, na którego wykłady Andrzej uczył się. Twarz miał bladą jak kreda.

– Najmocniej przepraszam za najście... – zaczął w progu. W palcach miał jasny kapelusz, który zdjął z głowy, zanim nacisnął dzwonek. – Słyszał pan, Andrzeju, ten komunikat? Co pan na to?

– Jaki komunikat? – Jędrrek zatrzymał na swym wykładowcy zaskoczone spojrzenie. Otworzył szeroko drzwi i wprowadził profesora do salonu. – O wypowiedzeniu wojny Niemcom przez Anglię i Francję? Tak, czytałem – potwierdził skwapliwie, gdy sąsiad przycupnął na skraju kanapy.

– Ale ja nie o tym – zachnął się Bursztyn i wstał. Jemu się zbyt spieszyło, aby wysiadywać po kanapach i dywagować o sojusznikach. – Zanim oni się ruszą, to Niemcy zdążą nas wybić co do nogi. Mówię o tym komunikacie, co nadają z megafonów zamieszczonych na samochodach jeżdżących po mieście.

– Nie, nic nie słyszałem. – Andrzej zaprzeczył ruchem głowy i zerknął w stronę okna, które wychodziło na Grodzką,

ale poza tłumem przechodniów i paroma dorożkami żadnych samochodów z megafonami nie dostrzegł.

– Jaki komunikat? – do rozmowy wtrąciła się Katarzyna, która słysząc rozmowę toczącą się podniesionymi głosami, weszła do salonu. Podała profesorowi dłoń, gdy Andrzej go przedstawił.

– Żeby wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni, droga pani – relacjonował Bursztyn i z roztargnienia włożył z powrotem kapelusz na głowę – natychmiast opuścili Kraków, bo ma być wydany w ręce Niemców... Władze zalecają uciekać na wschód...

– Nie bardzo rozumiem: co ma jedno z drugim wspólnego? – spytał Andrzej i z niepokojem zerknął na matkę, czy mu aby nie zemdleje.

– Wybaczcie, państwo, to z tych nerwów. Już wyjaśniam. – Profesor z emocji raz po raz chrząkał. – Ponoć Niemcy aresztują młodych mężczyzn, ubierają w niemieckie mundury i pędzą przed swoimi oddziałami w charakterze żywych tarcz.

– Co za bestialstwo! – Katarzyna z niedowierzaniem kręciła głową. Oczyma wyobraźni ujrzała Andrzeja, jak mu pierś przeszywa seria z karabinu maszynowego. I to polskiego.

– Dziękuję bardzo za informację – odezwał się Andrzej, zbity z tropu zasłyszaną informacją – ale przecież nie zostawię mamy samej na pastwę losu. Ojciec i brat zostali przecież zmobilizowani.

– Ależ to polecenie władz! – z nieznanych przyczyn profesor energicznie obstawał przy swoim. – Nam, starym, nic nie grozi – wypalił, choć gołym okiem było widać, że Katarzyna była od niego znacznie młodsza i do starości nic a nic się nie poczuwała.

– No tak, niby polecenie. – Katarzyna wysiąkała nos, puszczając mimo uszu słowa Bursztyna o starości. Teraz ważniejsze były inne sprawy niż kobieca kokieteria. – Tylko

my nie mamy żadnej rodziny we wschodniej Polsce, jedynie w Poznaniu. A tam Niemcy pewno już weszli. Przecież nie poślę chłopaka, aby się błąkał po lasach przez tydzień, a może nawet dwa... – Nagle przyszły jej na myśl opowieści dziadka Andrzeja, jak to młodzi Polacy uciekli w las, aby uchronić się przed carską branką, i to zadecydowało o wybuchu powstania, choć nikt nie był do niego przygotowany.

– Ale ja mam... Kuzynkę... W Przemyślu... – Bursztyn bąkał nieco zażenowany. Nigdy nie umiał nikogo prosić o przysługę, ale sytuacja była wyjątkowa. – Chciałbym moją Halinkę tam wysłać, ale przecież na czas wojny nie puszczyć dziewczyny samej. Moich dwóch synów też zmobilizowano i zostałem z córką sam, bo przecież moja małżonka, świeć, Panie, nad jej duszą, zmarła jakiś czas temu. Jakby tak pan Andrzej zabrał się razem z Halinką... – wyrzucił w końcu, z czym tak naprawdę przyszedł. Jednak tego, co leżało mu głęboko na samym dnie serca, wołał nie mówić. Miał cichą nadzieję, że to się nigdy nie wyda. – Kuzynka nie odmówi gościny.

– Skoro tak – zgodziła się Katarzyna, rozważywszy błyskawicznie wszystkie za i przeciw – nie ma co deliberować. Szykuj się, synku, do drogi – oznajmiła stanowczo. – Za dwa tygodnie wojna się skończy i wrócić do Krakowa.

– Mowy nie ma – Andrzej jednak odmówił. Przed oczyma stanęła mu chuda dziewczynka z mysimi warkoczykami, całymi dniami bębniąca po klawiszach fortepianu, co doprowadzało sąsiadów do szewskiej pasji. Zamiast walczyć, będą musiał niańczyć jakieś rozpieszczone panienki, pomyślał ze złością. Po czym dodał: – Nie zostawię mamy samej. Obiecałem ojcu.

– Ja się zaopiekuję szanowną mamusią – solennie obiecywał profesor. – A ty, kawalerze, razem z moją Halinką uciekajcie z tego miasta, uciekajcie! Póki jeszcze można!

Czas jakiś trwała słowna przepychanka, aż w końcu Andrzej skapitulował, widząc łzy w oczach Katarzyny.

– Niech Halina przygotowuje się do drogi – oznajmił zrezygnowanym głosem. – Przyjdę po nią za godzinę.

W końcu z mamą zostaje Hela, a wojna pewno lada moment się skończy, skoro nasi sojusznicy ruszyli nam z pomocą, pomyślał, idąc do swego pokoju, który kiedyś dzielił z Piotrem, zanim brat poszedł do podchorążówki.

Włożył pumpy i płócienną koszulę oraz skórzane trzewiki, te, w których chodził po górach. Do plecaka wrzucił sweter i kaszkiet, gdyby zrobiło się chłodno, oraz zmianę bielizny i przybory do golenia. Kiedy poszedł do kuchni, ujrzał Katarzynę majstrującą przy jego prochowcu.

– Co mama robi? – spytał zdziwiony.

– Zaszłam ci w mankietach trochę pieniędzy – wyjaśniła, podając mu płaszcz. – Podczas wojny wszelkie szumowiny na wierzch wypływają – dorzuciła, widząc bezgraniczne zdziwienie malujące się na twarzy syna.

Hela do plecaka spakowała mu pół bochenka chleba i kawalek sera, zawinięty w lnianą ściereczkę. Do manierki, którą Andrzej zawsze brał na wyprawy w góry, nalala herbaty, a na koniec wrzuciła tabliczkę czekolady.

– Niech panicz uważają na siebie – wydusiła przez zasznurowane wzruszeniem gardło, a w jej jasnych oczach zalśniły łzy. Miała ogromną ochotę pocałować Andrzeja w usta, ale zdawała sobie sprawę, że nie mogła przy swojej chlebowdawczyni pozwolić sobie na taki gest czułości. Gotowa wyrzucić ją z posady.

Katarzyna starała się trzymać fason. Zagryzała wargi, aby się nie popłakać. Tylko tego brakowało, aby z litości nade mną zrezygnował z ewakuacji, pomyślała.

– Uważaj na siebie, synku... – powiedziała jak zwykle i przypominając sobie opowieści dziadka z okresu powstania, nakreśliła mu na czole znak krzyża, licząc, że ten gest uchroni

jej dziecko od wszelkiego złego. Dla pewności zawiesiła mu na szyi medalik z Matką Boską. – Niech cię Bóg prowadzi – dodała na koniec załamującym się głosem.

Drzwi wiodące do mieszkania Bursztynów otworzyła Andrzejowi drobnej budowy dziewczyna o jasnych, sięgających ramion włosach, przewiązanych jedwabną przepaską, aby nie spadały jej na twarz. Ta sama, która co rano podlewała kwiatki ustawione w doniczkach na parapecie okna w kamienicy naprzeciwko. Moja Zosia, pomyślał zbity z tropu, gdy ją ujrzał. Panienska z okienka, jak ją w myślach nieraz nazywał. Miała na sobie kremowy płaszcz, spod którego wystawała plisowana spódnica w szkocką kratkę i prosta w kroju biała bluzka, ozdobiona pod szyją szerokim wiązaniem na kształt krawata, z tego samego co spódnica materiału. Białe skarpetki i skórzane beżowe półbuty na płaskim obcasie dopełniały całości. Zadarty nos i drobne, nieco wydęte usta nadawały jej twarzy wyraz rozkapryśzonego dziecka. Spojrzała na Andrzeja szarymi jak pochmurne niebo oczyma, ocienionymi wygiętymi do góry ciemnymi rzęsami. Z miejsca w nich utonął.

– Dzień dobry. – Ukłonił się grzecznie, nieco zbity z tropu urodą dziewczyny. – Przyszedłem po Halinkę.

– No co ty, Jędrak! – Wybuchnęła śmiechem, odsłaniając rząd zębów, z których dwa górne wysunięte były odrobinę do przodu. Jak tłumaczyła jej matka, była to konsekwencja ciągłego ssania przez nią kciuka, gdy była dzieckiem. – Nie poznajesz mnie? Czyżbym się aż tak zmieniła?

Niewiele brakowało, a Andrzej byłby się zarumienił. Z brzydkiego kaczątka wyrósł piękny ląbedź, pomyślał.

– To przez tę nową fryzurę i elegancki płaszcz – bąknął zmieszany. – Jak cię ostatnio widziałem, to nosiłaś warkocze i biegałaś w harcerskim mundurku...

– Kiedy to było! – Machnęła ręką. – Chyba z sześć lat temu?

– Nasza Halinka to już dorosła panna. Studiuje w warszawskim konserwatorium, w klasie fortepianu, u profesora Drzewieckiego – wyjaśnił Bursztyn, który pojawił się w progu z plecakiem w rękach. – Wyjechała jako dziecko, a wróciła panną na wydaniu – oznajmił nie bez dumy. – Powierzam mój skarb pańskiej opiece... – dodał po chwili śmiertelnie poważnie, zatrzymując na Andrzejku czujne spojrzenie, na którego dnie czaiła się ogromna niepewność.

– Proszę być spokojnym – zapewnił Jędrrek. – Będę jej strzegł jak rodzonej siostry.

– Pozdrówcie ciotkę Eugenię – szepnął profesor przez łyżki i ucałował córkę w obydwie policzki. – No, idźcie już, idźcie – nakazał w obawie, że jeszcze chwila i on się rozmyśli.

Już w drodze na dworzec wmieszali się w tłum ludzi zmierzających w tym samym co oni kierunku. Natomiast ulicą Starowiślną w stronę Podgórza przemieszczały się ciężarówka, furmanki, dorożki i samochody osobowe. Wszystko wypełnione pasażerami i dobytkiem spakowanym w kufry, walizki, worki i tobołki. Straż pożarna ewakuowała się na zdemontowanych beczkowszach, a kilku śmiałków na naprędce skonstruowanych tratwach spławiało się Wisłą. Co chwilę dały się słyszeć krzyki, rżenie przerażonych koni, dźwięki klaksonów, brzęk tłuczonego szkła czy trzask rozbijanych samochodów. Między tym wszystkim przepychali się ci, którzy postanowili na własnych nogach opuścić skazane na łup Niemców miasto.

Kiedy Jędrrek i Halina dotarli na dworzec, szybko się przekonali, że nie mają żadnych szans, aby wsiąść do jakiegokolwiek pociągu. Kursowały jedynie towarowe, a te wypełnione były żołnierzami. Czasami jakaś rodzina z dziećmi litościwie została wpuszczona do środka. Tłum jednak koczował na peronie, licząc na cud, a nade wszystko na rychłe zakończenie wojny. „Wszak już nasi sojusznicy zaatakowali Hitlera – rozprawiali głośno. – Zobaczycie głupi malarz, gdzie raki zimuja”.

Pośród buńczucznych pohukiwań rozlegał się płacz przerażonych dzieci i lamenty kobiet.

To nie jest żadna zaplanowana ewakuacja, przyszło Andrzejowi na myśl. To jest sromotna ucieczka – wojska, rządu i ludności cywilnej.

– Chodźmy pieszo do kolejnej stacji – zaproponował Halinie, gdy po kilku godzinach nie zdołali się wcisnąć do żadnego wagonu. – Może tam trafimy na jakiś pociąg towarowy, którym będziemy mogli się zabrać, jak już nie do Przemyśla, to chociaż do Tarnowa.

– Ale przecież noc zapada – zaproponowała nieśmiało. Panicznie się bała ciemności, ale głośno wołała tego nie mówić, aby jej Jędrrek nie wyśmiał. – Miasto jest zaciemnione i pobłądzimy – sięgnęła po koronny jej zdaniem argument.

– Nie ma obawy – stwierdził Andrzej z pewnym siebie uśmiechem. – Znam bardzo dobrze drogę. Poza tym mam w plecaku latarkę.

– Skoro tak uważasz... – zgodziła się bez przekonania.

Ojciec surowo jej nakazał, że ma się we wszystkim słuchać Andrzeja i broń Boże nie wprowadzać w czyn własnych nierozważnych pomysłów, jak to miała w zwyczaju. Wciąż nie mógł zapomnieć, ile się strachu najadł, kiedy jego córka jako podlotek samowolnie wybrała się z koleżanką do Smocznej Jamy pod Wawelem w poszukiwaniu dawnego domu rozpusty. Zaopatrzone w latarkę weszły w jakiś boczny korytarz i się zgubiły. Dopiero ich głośne krzyki sprowadziły pomoc.

Kiedy jednak dotarli do Prokocimia, na stacji zastali jedynie tłum zdezorientowanych ludzi z nadzieją spoglądających na stojące na torach puste wagony, bez lokomotywy i bez obsługi.

– I co teraz? – spytała Halina. Zapięła płaszcz pod szyję, bo noc zrobiła się chłodna, i poprawiła plecak na ramionach.

– Pójdziemy dalej pieszo. Nie ma innego wyjścia – odparł Andrzej, wruszając ramionami. Takiej sytuacji się nie spodziewał.

– Chyba zwariowałeś! – krzyknęła. – Wiesz, ile się jedzie do Przemyśla? Sześć godzin albo i więcej! A ty chcesz iść pieszo?! – Niewiele brakowało, a wymownie popukałaby się w głowę, ale przyszło jej na myśl, że Jędrak gotów się obrazić i cóż ona wówczas pocznie sama, nocą, w obcym dla siebie miejscu.

– A masz lepszy pomysł? – Andrzej spojrział na Halinę wyczekująco. Wymyśl coś, paniusiu, jak jesteś taka mądra, pomyślał wściekły. W głowie jej się poprzewracało w tym konserwatorium.

– Możemy wrócić do domu – odparła po chwili namysłu. – Przenocujemy, a rano może jakieś pociągi pasażerskie postawią na dworcu.

– Kto postawi?

– No... kolejarze... – Halina wruszyła ramionami, a w jej ogromnych oczach Andrzej dostrzegł łzy.

Tylko tego brakowało, aby się porzuciła, pomyślał ze złością.

– Jutro, moja Halinko – zaczął nieco przemądrzałym tonem – Niemcy mogą już wkroczyć do Krakowa i wówczas nie będziemy mieli żadnych szans na ucieczkę. Aresztują nas oboje. Przecież będziemy po drodze odpoczywali – dorzucił, widząc, jak wygięła usta w podkówkę.

– No to chodźmy. – Pociągnęła nosem, odwracając twarz, aby nie widział łez płynących jej po policzkach. – Znasz drogę? – spytała po chwili, znów pociągając nosem.

– Do Przemyśla nie znam, nigdy tam nie byłem – odparł, spuszczając z tonu. Udał, że niczego nie dostrzega. Kobiecte łzy go deprymowały. Nigdy nie wiedział, jak się zachować. – Ale znam do Tarnowa. Będziemy szli torami, więc nie pobiędzimy, i tylko do najbliższej miejscowości, to, zdaje się,



Bochnia, a później Brzesko. Chyba że i tam nie będzie pociągu, to pomaszterujemy dalej.

– No, dobrze – zgodziła się bez grymaszenia i opuściła wzrok na swoje stopy. Miała na nich półbuty na płaskim obcasie. – Są wygodne – zapewniła, widząc, że i Andrzej raz po raz zerkał na jej nogi. Przestraszyła się, że z jej butami jest coś nie tak.

Jego jednak nie interesowały jej buty, lecz łydki, które odsłaniała dość krótka spódniczka. Wydały mu się bardzo ładne. U żadnej dziewczyny jak dotąd nie widział takich zgrabnych nóg. Długie i szczupłe w kostkach. Pęcinach, jak mawiał Zbyszek Partyka, przyjaciel jeszcze z liceum, z którym razem wędrowali po Tatrach. Ukończył podchorążówkę kawalerii i wszystko kojarzyło mu się z końmi. Zbychu pewno też już gdzieś walczy, pomyślał Andrzej i ze złością lypnął na dziewczynę, jakby to ona ponosiła odpowiedzialność, że jego nie powołali do armii.

Nie byli jedynymi maszerującymi po torach. Inni już wcześniej podjęli taką samą decyzję. W zapadających szybko ciemnościach trudno było rozpoznać twarze, a po chwili zniknęły nawet sylwetki. Jedynie dość głośne rozmowy świadczyły, że przed nimi i za nimi wolnym krokiem zmierzały do celu grupki wędrowców. Andrzej wziął Halinę za rękę i przyspieszył kroku. Co chwilę kogoś mijali. Niektórzy jeszcze dobrze nie rozpoczęli podróży, a już ustawali. Przecenili swoje siły, pakując dobytek do walizek. Niektóre panie nie chciały zostawić swoich futer na pastwę losu i niosły je teraz na własnych grzbietach, pocąc się obficie.

Maszerowali całą noc. Halina starała się dotrzymywać Andrzejowi kroku, aby nie wziął jej czasem za rozkapryszoną panienkę tylko dlatego, że nauki pobierała w Warszawie. Gdyby to od niej zależało, z Krakowa nigdy by nie wyjechała. Jednak po śmierci matki ojciec, nie radząc sobie z wychowywaniem dziewczynki, wysłał ją do prywatnego gimnazjum

z internatem, do którego uczęszczały córki śmietanki towarzyskiej stolicy. I to właśnie nauczyciel muzyki w tej szkole namówił Halinę, aby podjęła naukę w konserwatorium muzycznym. Kiedy wybuchła wojna, ojciec nie pozwolił jej wrócić do Warszawy, tylko uparł się, aby uciekała z Andrzejem do Przemyśla. Gdyby wiedział, że Jędrzek każe mi maszerować nocą po torach kolejowych, pewno by mi pozwolił zostać w domu, pomyślała, trzęsąc się z zimna, choć już dawno włożyli swetry i płaszcze. Wyraźne oznaki zmęczenia dopadły ją o świcie. Nie ona jedna miała dość. Pierwsze promienie słońca wyłowiły z mroku koczujących tuż przy torach ludzi. Siedzieli na skraju rozpościerających się wokół zasnutych poranną mgłą pól i łąk.

– Chwilę odpoczniemy – zaproponował Andrzej, gdy minęli Bochnię. – Zjemy coś i pójdziemy dalej.

Rozsiedli się na niewysokiej skarpie i zjedli po kawałku chleba z serem i kielbasą, w którą Bursztyn zaopatrzył swą córkę. Popili przestygłą już herbatą i przegryźli paroma kostkami czekolady. Gdy odpoczęli, ruszyli w dalszą drogę.

W blasku wschodzącego słońca w oczy rzucały się bagaże porzucone po drodze przez tych, którzy byli już zbyt zmęczeni wędrówką i nie mieli sił dźwigać ciężkich walizek ani tobołków. Jacyś ludzie grzebali w nich z nadzieją, że znajdą coś użytecznego podczas drogi. Największym wzięciem cieszyły się wygodne buty. Eleganckie czółenka na obcasach jawiły się jako towar całkowicie *nomen omen* niechodliwy. Szybko wyszło na jaw, że niektórzy wybrali się w drogę bez kawałka chleba, jakby liczyli na dotarcie do celu w kilka godzin. Teraz głodni i wyczerpani, u kresu sił, siedzieli wzdłuż torów, nie wiedząc, co ze sobą począć. Czy wracać, czy jednak mimo wszystko iść dalej?

Do mrowia ludzi sunących torami i ścieżkami wydeptanymi w trawie tuż obok wciąż dołączali nowi, zwłaszcza młodzi, uciekający z pobliskich wsi czy miasteczek. Po

drodze mijali stojące na torach pociągi widma. Choć bez maszynisty i konduktorów, w przedziałach siedzieli pasażerowie, jakby liczyli na cud, że pociąg ruszy w dalszą drogę. Gdy słońce stanęło w zenicie, zrobiło się gorąco. Halina i Andrzej najpierw pozdejmowali płaszcze, a później swetry.

– Odpocznijmy trochę – poprosiła błagalnie, przystając co chwilę. Jeszcze nigdy w życiu tak długo nie maszerowała. – Już nóg nie czuję.

– W Brzesku odpoczniemy – obiecał Andrzej. – To tylko godzina lub dwie drogi. Wytrzymaj – oznajmił stanowczo, choć sam już miał serdecznie dość, ale za żadne skarby nie chciał się przed dziewczyną przyznać.

– Nie dam rady – Halina marudziła dalej i spojrzała na niego oczyma pełnymi łez. – Chociaż pięć minut... – prosiła, wydymając i tak wypukłe usta.

– No dobrze – zgodził się, jakby łaskę robił, i rozejrzał wokoło, szukając odrobiny cienia. – Może tam? – zaproponował, wyciągniętą ręką wskazując widoczny w pobliżu niewielki zagajnik.

Halina ostatkiem sił dowlekła się do drzewa i z impetem usiadła. Opierając się o pień, wyciągnęła przed siebie obolałe nogi. Z przerażeniem zauważyła, że były pokryte kurzem prawie do kolan. Andrzej rzucił się na ziemię tuż obok i zdjął z nosa okulary. Przymknął oczy i chwilę rozkoszował się bezruchem. Sięgnął do plecaka i wyjął czekoladę. Choć była rozmiękła i lepka, zjedli po kawałku z nadzieją, że doda im sił. Nagle dotarł do nich jakiś pomruk.

– Burza idzie – oświadczyła Halina, oblizując ze smakiem upaprane czekoladą palce. Przepadała za słodyczami, lecz w domu je ograniczano, bo ponoć od cukru psują się zęby. – Tylko tego brakowało, żebyśmy przemokli do suchej nitki – dorzuciła złowieszczo.

Po chwili pomruk się powtórzył, tylko jakoś inaczej.

- To nie burza... - Andrzej podniósł się na nogi i z uwagą wpatrywał w niebo. Nie było na nim ani jednej chmurki.

Nagle zza horyzontu wyłonił się ciemny punkt. Błyskawicznie się zbliżał i rósł w oczach.

- Jakiś samolot - powiedział, dłonią przysłaniając oczy przed ostrymi promieniami słońca.

- To pewno nasi! - ucieszyła się Halina. Poderwała się na nogi, aby pomachać pilotowi ręką, gdy nadleci bliżej.

- Może Anglicy - spekulował Andrzej ze wzrokiem utkwionym w widnokregu.

Gdy samolot znalazł się bliżej, zniżył lot. Maszerujący to-rami ludzie zadzierali głowy do góry, inni machali do pilota chusteczkami. Halina z okrzykiem radości zaczęła podskakiwać i wymachiwać rękoma. Nagle Andrzej chwycił ją za ramiona i pociągnął w dół, na ziemię. Błyskawicznie nakrył ją swoim ciałem.

- To Niemcy! - krzyknął przerażony, mając wciąż w pamięci nalot z pierwszego dnia wojny. - Ma na ogonie namalowaną swastykę!

## ROZDZIAŁ 10

Jeszcze do Haliny nie dotarło w pełni znaczenie słów Andrzeja, gdy nagle rozległo się upiorne terkotanie karabinu maszynowego. Lecący nisko samolot otworzył ogień wprost do ludzi idących torami. Z krzykiem rzucili się do ucieczki w dół nasypu kolejowego, kryjąc się po rowach, inni biegli wprost przed siebie. Jednak szans na ucieczkę nie mieli żadnych. Kule szatkowały ludzi i bagaże, ryły ziemię, wyrzucały w powietrze drobne kamienie, niczym chmara wściekłych os świszczwały wokół. Po chwili samolot zmienił kierunek lotu i rozpoczął polowanie na tych, którzy rozpierzchli się po łące. Przeszyci serią z karabinu, padali twarzą do ziemi lub na wznak. Gdy samolot odleciał, nastąpiła grobowa, przerażająca cisza. Andrzej już zamierzał wstać i biec rannym na ratunek, gdy nagle po raz kolejny dotarł do niego warkot silnika. Po chwili ujrzał samolot. Leciał nisko wzdłuż torów, siekąc seriami po tych, którzy mieli odrobinę szczęścia i przeżyli. Nasyciwszy się krwią, odleciał.

Andrzej i Halina chwilę jeszcze leżeli bez ruchu. Nasłuchiwali przerażeni, czy śmiercionośna maszyna powróci, aby dobić pozostałych.

– Chyba odleciał na dobre – szepnęła Halina, wciąż leżąc z twarzą przy ziemi i czując na sobie ciężar ciała Andrzeja. Zasłonił mnie sobą, pomyślała zaskoczona jego poświęceniem.

– Chyba tak – odparł cicho, jakby obawiał się, że pilot może ich usłyszeć i zawrócić.

Błyskawicznie pozbierał się na nogi i podał rękę Halinie, pomagając jej wstać. Twarz miała bladą jak kreda. Odruchowo otrzepała spódniczkę i bluzkę z trawy i zwiędłych liści spadłych z drzew. Zatrzymała na Andrzeju pełne łęku spojrzenie, czekając na jego decyzję. Ona czuła kompletną pustkę w głowie i miała ochotę się popłakać.

– Chodźmy – oznajmił schrypniętym z emocji głosem i chwyciwszy swój plecak do ręki, ruszył biegiem w stronę torów, gdzie rozegrała się tragedia.

Halina posłusznie poszła w jego ślady.

Już z daleka dotarł do niech lament i płacz tych, którzy przeżyli. Gdy znaleźli się bliżej, obraz, który ujrzeli, przeszedł ich najśmielsze wyobrażenia o śmierci i ludzkim nieszczęściu. Jedni próbowali ratować rannych, inni usiłowali przywrócić do życia zabitych, jeszcze inni w milczeniu tulili w ramionach trupy, niektórzy, klęcząc nad zwłokami, załamywali ręce i zanosili się szlochem. Andrzej bezradnie rozglądał się wokół, jakby spodziewał się ujrzeć biegnących na pomoc lekarzy, lecz wszędzie, jak okiem sięgnąć, widział jedynie walające się ubrania serią karabinu wyprute z walizek. Halina na widok krwi zalewającej wszystko wokół, lśniącej kroplami na trawie, sikającej z otwartych ran, wsiąkającej powoli w wysuszoną ziemię przystanąła niczym żona Lota. Unoszący się nad pobojuwiskiem mdły zapach krwi przyprawił ją o mdłości. Miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Serce jej tak łomotało, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

– Chryste Panie... Jezusie Nazareński... Matko Boska Częstochowska – szeptała przerażona, nagle zapominając wszystkich wyuczonych na pamięć modlitw.

– Lekarza! Czy jest gdzieś lekarz?! – Andrzej z krzykiem biegł od jednej grupki ludzi do drugiej, ale nikt się nie zgłaszał. Ranni umierali na oczach zrozpaczonych i bezradnych krewnych.

Ujrawszy z daleka dachy wiejskich chałup, pomyślał, że tam znajdzie ratunek. Chwycił za rękę Halinę, stojącą nieruchomo z dłońmi przyciśniętymi do ust, i puścili się biegiem przez łąkę w stronę majaczących na horyzoncie zabudowań. Z przerażeniem dostrzegli leżące w kałużach krwi krowy i konie, które jeszcze godzinę temu pasły się spokojnie, a których także nie oszczędził niemiecki lotnik. Gdy dobiegli do wsi, ich oczom ukazały się płonące chałupy, wokół których z wiadrami wody uwijali się jak w ukropie ci, którzy uszli z życiem, kiedy samolot ostrzelał wioskę. Tutaj nikt nam nie pomoże, pomyślał Andrzej. I dopiero wówczas do niego dotarło, że te dramatyczne wydarzenia, które stały się ich udziałem, rozgrywały się wszędzie, w całej Polsce, że tak właśnie wyglądała wojna. Że na żadną pomoc nie mogą liczyć i są zdani tylko na siebie.

– Pójdziemy dalej szosą – zdecydował, spoglądając z niepokojem na stojącą bez ruchu Halinę. Na jej twarzy malowała się bezgraniczna rozpacz i przerażenie. – Może jakiś samochód będzie jechał, to nas zabierze – dorzucił w obawie, że ona odmówi.

Jednak tym razem dziewczyna bez sprzeciwu poprawiła plecak na ramionach i w milczeniu ruszyła w stronę widocznej tuż za łąką szosy. Również nie miała pretensji, gdy wypełnione nieznaną im zawartością wojskowe ciężarówki minęły ich, nawet nie zwalniając.

– To chyba Brzesko – odezwała się dopiero, kiedy z daleka dostrzegli czerwone dachy domów.

– Brzesko – potwierdził Andrzej. – Zdaje się, że tutaj Niemców jeszcze nie było.

Gdy dotarli na stację, ujrzeni czekające na sygnał odjazdu pociągi wypełnione uchodźcami. Niektórzy zdążyli już wysiąść i wylegiwali się w cieniu drzew lub na pobliskich łąkach. Część przygotowywała sobie posiłki, inni kręcili się pozornie bez celu.

- Kiedy odjedzie ten pociąg? - Andrzej zagadnął mężczyznę pod czterdziestkę, siedzącego na stopniach wagonu. Palił papierosa za papierosem.

- Tego nikt nie wie - odparł, wzruszając ramionami. - Mówią, że tory zajęte przez transporty wojskowe, a one mają pierwszeństwo. My już tak dwa dni koczujemy.

- Niemcy was nie bombardowali? - spytała Halina.

- Bombardować nie bombardowali. - Mężczyzna lekceważąco wzruszył ramionami, bo jeszcze nie było mu dane przeżyć nalotu, więc nie miał pojęcia, czym to grozi. - Owszem, polatały dranie, coś tam postrzelały i poleciały. Pewno do Lwowa - dokończył z pełnym przekonaniem.

- Może też powinniśmy dalej pojechać pociągiem - nieśmiało zaproponowała Halina, gdy z Andrzejem ruszyli wzdłuż pociągu. Czuła się śmiertelnie zmęczona i niczego tak nie pragnęła jak paru godzin snu. Choćby na podłodze, byle pod dachem.

- Zaraz znajdziemy jakieś wolne miejsce - Andrzej zgodził się bez oporów. On też oddałby wiele, aby się przespać.

Jednak zdobycie wolnego miejsca w wagonie graniczyło z cudem. Wędrowali od jednego do drugiego, ale zewsząd odprawiano ich z kwitkiem. Albo rzeczywiście przedział był zapchany, albo nikt nie chciał im odstąpić choćby odrobiny miejsca. I wówczas do uszu Andrzeja dotarł znajomy już pomruk nadlatujących bombowców.

- Nalot! - krzyknął i chwyciwszy Halinę za rękę, ruszył biegiem przez tory w stronę widocznego w oddali lasu.

Biegli co sił w nogach, kuląc się w sobie, jakby to mogło ich uchronić przed czujnym wzrokiem skrytego za pancierzem



maszyny mordercy. Od pierwszych, z rzadka rosnących drzew dzieliło ich jeszcze kilkadziesiąt metrów, gdy usłyszeli za plecami przerażający ryk nurkujących samolotów i krzyki ludzi, którzy rzucili się do ucieczki. Z miejsca zrobił się ogromny tumult, bo nagle wszyscy zdali sobie sprawę, że nigdzie nie znajdą ratunku. Już po chwili, wydając z siebie rozrywający bębenki gwizd, spadły pierwsze bomby, wyrzucając w górę fontanny ziemi.

Gdy Andrzej i Halina dobiegli do lasu, skryli się za drzewem. Przytuleni do jego potężnego pnia, z przerażeniem obserwowali rzeź niewinnych uciekinierów dokonywaną metodycznie, z zaplanowanym okrucieństwem. Wybuchające z hukiem bomby rozrywały ludzi. Ich szczątki, ociekając krwią, wisiały na gałęziach drzew, wałaly się po torach i łące. Halina zatkała sobie uszy dłońmi, aby nie słyszeć wprost niehumanicznego, zwierzęcego wycia bólu i rozpacz, rżenia rannych i błagania o ratunek. Nagle jeden z samolotów zanurkował i lecąc nisko, otworzył ogień z karabinu maszynowego, dobijając tych, którzy jeszcze dawali oznaki życia. Po chwili skierował się nad las, jakby wypatrzył skrytych za drzewami ludzi.

Andrzej mocno przytulił do siebie Halinę i przesuwiał się wokół drzewa, tak aby nie widzieć samolotu.

– Skoro my go nie widzimy, to i on nas nie widzi – tłumaczył szeptem swoje zachowanie, którego ona nie rozumiała.

Ze strachu nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Szlochala głośno, kurczowo trzymając się chłopaka.

W końcu samoloty odleciały. Andrzej, wciąż tuląc w ramionach przerażoną dziewczynę, chwilę spoglądał w niebo, czy aby mordercy nie powrócą. Z daleka, od strony torowiska i łąki, docierał do nich płacz zrozpaczonych ludzi i jęki umierających. Już po chwili na stację przybiegli mieszkańcy miasteczka, a wraz z nimi lekarze z miejscowego szpitala.

Pod wieczór jeden skład pociągu ruszył w kierunku wschodnim. Andrzej i Halina zdołali wcisnąć się do środka. Siedzieli na podłodze, stłoczeni między innymi pasażerami. Halina oparła głowę na ramieniu Andrzeja i kołysana jednostajnym ruchem pociągu w końcu usnęła. Zgubiła gdzieś opaskę, którą miała przewiązane włosy. Poczochrane rozsypały się wokół jej umorusanej ziemią twarzy. Andrzej bał się poruszyć, aby jej nie obudzić. Skoro ja umierałem ze strachu, rozmyślał, spoglądając z czułością na jej dziecięcą jeszcze twarz, to co dopiero ona.

Świtało, gdy pociąg zwolnił biegu, a później przystanął. Pasażerowie powoli zaczęli się budzić. Oczywiście także Halina. Gdy zorientowała się, że leżała w ramionach Andrzeja, błyskawicznie zerwała się na nogi.

– Przepraszam – bąknęła zażenowana. – Nie zauważyłam, kiedy usnęłam.

– Cała przyjemność po mojej stronie – próbował żartować, choć wciąż miał pod powiekami obraz masakry z wczorajszego dnia, a w uszach brzmiały mu krzyki ludzi. Więc to tak wygląda wojna, pomyślał z goryczą.

– Dlaczego stoimy? – spytała Halina, usiłując doprowadzić swoją garderobę do porządku. Spódniczka i bluzka wyglądały jak psu z gardła wyjęte, a prochowiec, którym okrył ją Andrzej, gdy spała, cały był w plamach.

– Pewno znowu tory zajęte – odparł bez przekonania. – Pójdę zobaczyć.

– Idę z tobą – oznajmiła kategorycznie i kurczowo uchwyciła się ramienia chłopaka. – Jeszcze pociąg odjedzie bez ciebie... – usiłowała się wytłumaczyć.

Nigdy w życiu się tak nie bała jak teraz. Nawet wówczas, kiedy będąc jeszcze w gimnazjum, wybrała się z koleżankami z internatu, aby popływać łódką po Wiśle. Nagle zerwała się burza, lunął deszcz i niewiele brakowało, a byłyby się potopiły. Z opresji uratowali ich jacyś kajakarze.

Andrzej nie miał zamiaru wdawać się z Haliną w dyskusję. Doskonale ją rozumiał. To, co przeszli, całkowicie mijало się z jego wyobrażeniami o wojnie. Nie było żadnych żołnierzy ubranych w skrojone na miarę mundury, maszerujących dzielnie z błyszczącymi karabinami w rękach, żadnych wojskowych melodii granych przez orkiestry dęte, salw armatnich i galopu kawalerii z lancami na sztorc. Zamiast tego przeżyli masakrę, której dokonano na Bogu ducha winnej ludności cywilnej. Nie oddamy nawet guzika, przypomniał sobie słowa Czarka i uśmiechnął się z sarkazmem.

Wziął do ręki plecak Haliny, a swój zarzucił sobie na ramiona i przeciskając się pomiędzy pasażerami, dotarli do wyjścia. Gdy wysiedli, przekonali się, że znowu stoją na jakiejś boczny kolejeowej w pobliżu stacji. A te, jak się już zdążyli przekonać, były ulubionymi obiektami niemieckich bombardowań. Aby sparaliżować transport i jednocześnie wywołać przerażenie wśród ludności cywilnej.

– Rzeszów – przeczytała Halina napis na budynku stacji kolejowej. – Już tutaj byli... – dodała grobowym głosem, gdy ujrzała częściowo zburzone budynki.

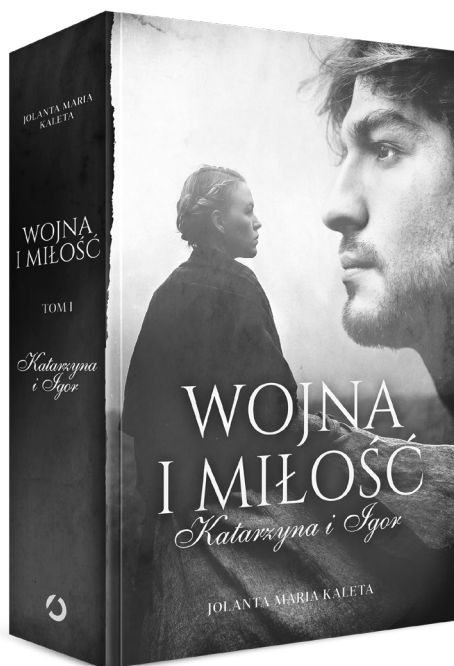
– Daleko stąd do Przemyśla? – spytał. Zdawał sobie sprawę, że czekanie, aż pociąg będzie mógł ruszyć w dalszą drogę, jest niebezpieczne. Niemcy z pewnością wrócą, aby raz jeszcze zbombardować miasto, a zwłaszcza stację kolejową i pociągi pełne uciekających ludzi.

– Nie wiem. – Halina wzruszyła ramionami. – Ale raczej daleko. Pociągiem to chyba dwie godziny drogi, a może trochę dłużej.

– Skoro tak, to pójdziemy pieszo, bocznymi drogami – zdecydował i ujął Halinę za rękę. Ciepła i ufna. – Przed nocą powinniśmy być na miejscu – dorzucił, zerkając na dziewczynę pełnym troski spojrzeniem.

Dla siebie zostawił myśl, że Niemcy mogli już do Przemyśla dotrzeć. Być może już go zrównali z ziemią.

**Przeczytaj także pierwszy tom cyklu**  
**WOJNA I MIŁOŚĆ**



Polski romans historyczny, jakiego jeszcze nie było!  
Wystawiona na ciężką próbę miłość Katarzyny i Igora spleta się z dramatycznymi losami rodziny Jaxa-Raweckich, których wojenny czas rozdzielił i ubrał w mundury wrogich armii.



## JOLANTA MARIA KALETA

Historyk i politolog, z zamiłowania pisarka. Wiele lat pracowała we wrocławskich muzeach oraz uczyła historii w liceum. Autorka dwunastu powieści sensacyjno-kryminalno-przygodowych.

Jeszcze na dobre nie przebrzmiały echa poprzedniej wojny, gdy świat stanął na krawędzi kolejnej katastrofy.

Katarzyna nie sądziła, że będzie musiała drżeć o życie synów, Andrzeja i Piotra, bo ludzkość nie wyciągnie z przeszłości żadnych wniosków. Zmienia to wrzesień 1939 roku. Gdy na Wawelu powiewa flaga ze swastyką, a z Wieży Mariackiej nie słychać hejnału, wielu krakowian ratuje się ucieczką na Wschód. Andrzej, do niedawna student medycyny, zgadza się zawieźć długo niewidzianą sąsiadkę Halinę do rodziny w Przemyślu. Pamięta ją jako podlotka, lecz kiedy staje przed nim studentka klasy fortepianu i spogląda na niego szarymi jak pochmurne niebo oczyma, Andrzej z miejsca w nich tonie...

Uczucie młodych będzie rodziło się w czasie apokalipsy. Wśród codziennych bombardowań, łapanek i egzekucji. W czasie szybkich ślubów i obrączek zrobionych z karabinowych łusek.

Piękna, inspirowana rodzinną historią powieść o miłości skażonej wojną i o bohaterstwie dwudziestolatków, którzy w czasie okupacji walczyli do samego końca.

E-book dostępny na [woblink.com](http://woblink.com)

ISBN 978-83-8135-009-9



9 788381 350099

Cena detal. 54,90 zł

  
OTWARTE